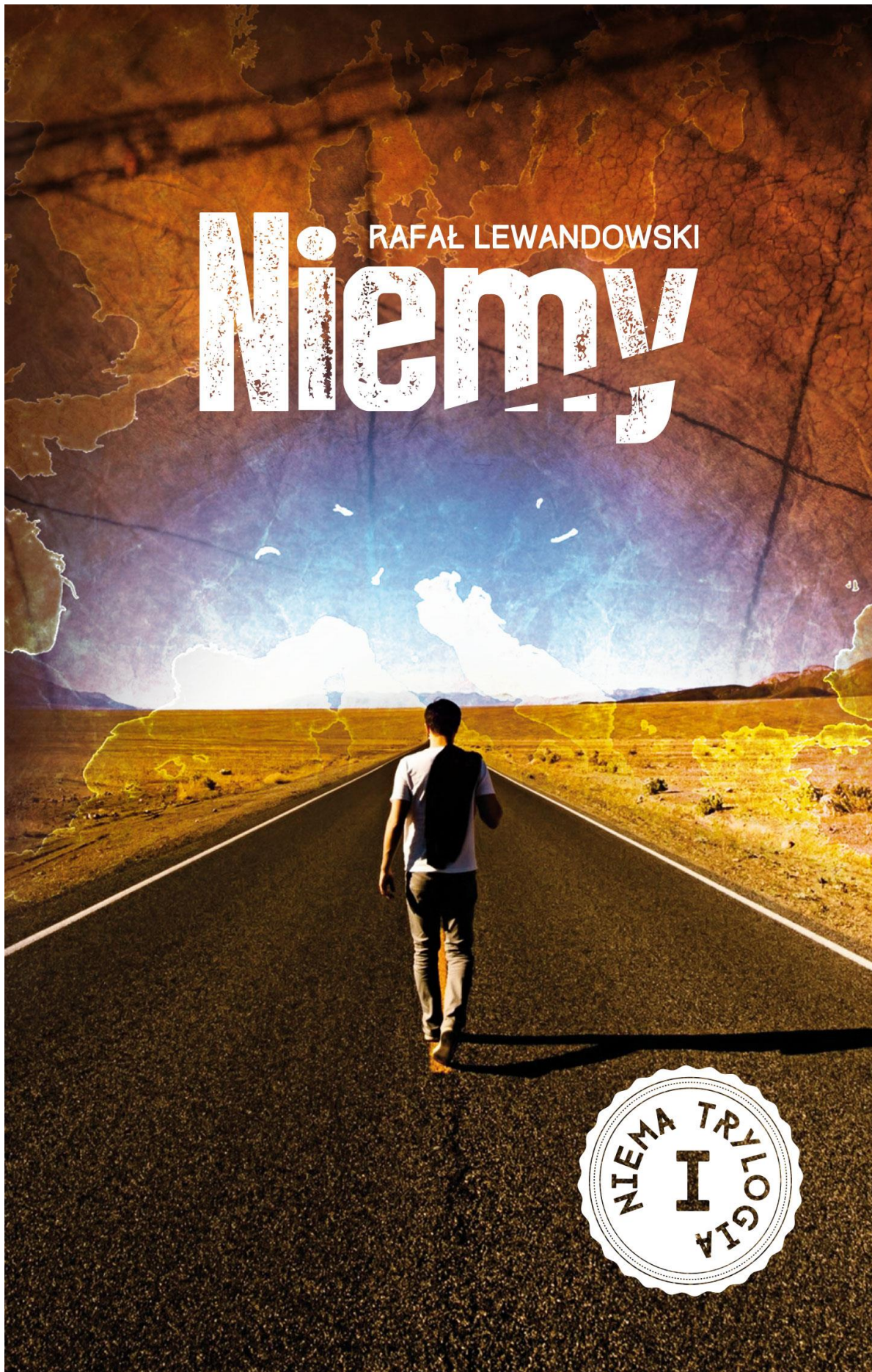


RAFAŁ LEWANDOWSKI

Niemcy



NIEMA TRYLOGIA
I

Rafał
Lewandowski

NIEMCY

Copyright © by Rafał Lewandowski, Bełchatów 2015.

All rights reserved.

Artystyczny Bełchatów

www.artystycznybelchatow.blogspot.com

Projekt okładki: Łukasz Buchała

www.buchersdesign.pl

Bełchatów 2015

Wydanie II

ISBN 978-83-62441-36-5

Pierwsze wydanie w formie papierowej ukazało się w marcu 2015 roku we współpracy z wydawnictwem Coś Pięknego.

Książkę w tej tradycyjnej postaci (128 stron) można zamówić pisząc maila na adres: lewandowski1331@gmail.com

Cena 20 zł + koszt wysyłki

*„Cisza to wielki żywioł,
w którym rodzą się wielkie rzeczy”*

Thomas Carlyle

*„Milczenie to tekst,
który niezwykle łatwo jest błędnie zinterpretować”*

Julian Tuwim

ROZDZIAŁ I

Cześć, nazywam się Rafael Wells. Cokolwiek sobie pomyśleliście widząc moje nazwisko od razu rozwieję wszelkie wątpliwości. Urodziłem się w Polsce, podobnie zresztą jak moi rodzice i chyba dziadkowie, ale akurat w ich przypadku nie jestem tego do końca pewien. Zresztą to i tak nieistotne. Przynajmniej na razie.

W marcu skończyłem dziewiętnaście lat. Już od ponad roku mieszkam sam w swoim własnym, małym mieszkanku w jednym z bloków na nowopowstałym osiedlu, znajdującym się na obrzeżach mojego rodzinnego miasta, w którym spędziłem całe swe dotychczasowe życie.

Jest tu bardzo spokojnie, dokładnie tak jak lubię, chociaż wieczorami czuję się tutaj nieco samotnie. Dopóki mieszkałem z rodzicami i licznym rodzeństwem ten problem w ogóle mnie nie dotyczył, wręcz przeciwnie, brakowało mi chwili ciszy i tej odrobiny prywatności, którą warto byłoby zachować dla utrzymania wewnętrznej równowagi. To wcale nie znaczy, że nie kocham swojej rodziny, po prostu czasem trudno z nią wytrzymać. Zapewne każdy kto ma rodzeństwo coś o tym wie.

W zasadzie można by powiedzieć, że jestem czarną owcą w naszej rodzinie, jednym puzzlem, który zaplątał się do pudełka z zupełnie inną układanką. Nie zostałem adoptowany, przynajmniej tak mi się wydaje, bo fizyczne podobieństwo między mną, a moim ojcem Thomasem jest zauważalne gołym okiem. Właściwie wyglądam jak jego klon, a nie syn, z domieszką krwi i nielicznych cech, które odziedziczyłem po mamie Anicie. Z moją młodszą siostrą Kingą jest dokładnie na odwrót, stanowi wierną kopię matki, z tym, że obecnie jest od niej trochę szczuplejsza i ubrana w... hm, jakby to ująć? Powiedzmy, że ma nieco wyzywający styl. Oczywiście Kinga, nie matka.

Oprócz tego mam jeszcze trzy siostry Julię, Natalię i Zuzannę, chociaż wszyscy w naszym domu i tak zwracają się do niej Zuzia, bo pełna wersja jej imienia brzmi trochę śmiesznie w odniesieniu do tej małej, niewinnie wyglądającej dziewczynki (jeszcze niewinnie, trzeba ją będzie trzymać z daleka od pseudowychowawczych wpływów Kingi).

Tak, dobrze się doliczyliście, mam aż cztery siostry. Pewnie każdy, kto ma tylko jedną, bardzo mi współczuje, a z drugiej strony cieszy się, że to nie jego to spotkało. Całkiem naturalna reakcja, chyba sam też bym się tak zachował.

Przy takiej ilości kobiet w domu czasami można zwariować. Czasami? W zasadzie to codziennie. Spróbuj się rano dopchać do łazienki, jak każda z nich siedzi tam co najmniej przez godzinę. Jak już w końcu uda ci się ta trudna sztuka i jesteś w środku to od razu masz

ochotę wyjść i to wcale nie dlatego, że spieszysz się do szkoły, chociaż to oczywiście także. Po prostu ciężko jest wytrzymać w zamkniętym pomieszczeniu (zwłaszcza tak małym jak nasza łazienka), jeżeli wokół ciebie unoszą się opary zawierające wszystkie pierwiastki z tablicy Mendelejewa. No może trochę przesadziłem, nie wszystkie. Tlenu tam na pewno nie ma.

Te pomieszane zapachy (czy to aby na pewno dobre określenie?) są, a właściwie były, bo przecież już tam nie mieszkam, nie do zniesienia. Kilka dezodorantów, dwa rodzaje lakierów do włosów (jeden bardziej śmierdzący od drugiego), kolejny lakier, tym razem do paznokci i oczywiście niezliczona ilość kremów na twarz, pod oczy, nad oczy i jakby tego było mało jakieś cuchnące preparaty do depilacji rąk, nóg i cholera wie czego jeszcze. I to wszystko unosi się w powietrzu (tak to umownie nazwijmy) skumulowane na pięciu metrach kwadratowych łazienki. Piękny bukiet zapachów, mój żołądek buntuje się na samo wspomnienie.

Nie wiem, jakim cudem znosiłem to przez tyle lat. Za każdym razem, gdy sobie o tym przypomnę, doceniam swoją własną łazienkę, z której mogę korzystać, kiedy chcę i ile chcę. Pełny luksus, mimo tego, że mam w niej tylko kabinę prysznicową, bo porządna wanna po prostu by się tam nie zmieściła. No cóż, nie można mieć wszystkiego.

Mój młodszy brat Adam pewnie chętnie by się ze mną zamienił. Pamiętam, jak chciał się tu wprowadzić razem ze mną, ale na szczęście moja matka szybko wyperswadowała mu z głowy ten pomysł. Było jej ciężko z myślą, że ja opuszczam rodzinny dom, bała się, jak poradzę sobie z samodzielnym życiem. Zupełnie tak, jakbym wcześniej nie dawał sobie rady. Też coś.

Ogólnie to prawie cała moja rodzina jest sympatyczna i cieszy się szacunkiem reszty mieszkańców naszego miasta, ale ja określiłbym ją raczej jako... dość specyficzną. W zasadzie na pierwszy rzut oka niczym się nie wyróżnia, ale już na drugi...

Krótko mówiąc wszyscy spokrewnieni Wellsowie, łącznie z dziadkami, którzy też mieszkają w naszym domu (de facto ten dom jest ich własnością) są chorobliwie wręcz gadatliwi. Tam, gdzie jest choć jeden Wells, nie ma mowy o chwili ciszy i co gorsze nie dotyczy to wyłącznie piękniejszej części rodu.

Największym gadułą jest chyba dziadek Martin. Usta nie zamykają mu się praktycznie przez cały dzień, ale to jeszcze nie jest najgorsze, ponieważ nadaje także przez sen, z czego nie zdaje sobie sprawy, ciągle twierdząc, że po prostu mu to wmawiamy. No trudno, niektórym nie przetłumaczysz, nawet jeśli masz rację.

Niestety jego żona, a moja babcia Katarzyna bardzo do niego pasuje. Mogą dyskutować godzinami. Codziennie. Ciężko mi to zrozumieć, że po prawie pięćdziesięciu latach wspólnego życia wciąż mają sobie tyle do powiedzenia. Może to właśnie była ich recepta na tak długi związek? Pewnie coś w tym jest, ale sam nigdy się nie przekonam.

O moim ojcu można powiedzieć jedno – wdał się w dziadka i dokonywał podobnych wyborów jak on.

O siostrach nie muszę chyba wspominać, wiadomo jak to jest z kobietami. Rozmawianie, gadanie, plotkowanie, obgadywanie to po prostu część ich natury, a jak się ma jeszcze geny po moim ojcu... Czy muszę coś dodawać?

Tak to u nas wyglądało, odkąd tylko pamiętam. Niezła męka, jak dla kogoś takiego jak ja. Dlatego tak szybko się wyprowadziłem. Nie chodziło mi wcale o potrzebę usamodzielnienia się, czy realizację własnych życiowych planów, po prostu potrzebowałem chwili ciszy.

Dziwnie się czułem podczas pierwszych dni w nowym lokum. Do tego stopnia dziwnie, że praktycznie przez cały czas zabijałem długie godziny ciszy telewizją lub głośną muzyką. Najgorsza pod tym względem była pierwsza noc. Leżałem w łóżku i gapiłem się w sufit, nie potrafiąc zmusić się do snu. Bez rozmów, szmerów, odgłosów kłótni czy mamrocącego przez sen dziadka, najzwyczajniej w świecie nie mogłem zasnąć. Wówczas skończyło się ze słuchawkami od mojej empetrójki w uszach. Bez niej chyba nie dałbym rady usnąć.

Teraz jest inaczej. W życiu do wszystkiego można się przyzwycząić. Nawet do ciszy i spokoju. Jednak muszę przyznać, że czasem wciąż ciągnie mnie do tego gwaru, który już chyba zawsze i wszędzie będzie mi się kojarzył z rodzinnym domem.

Ech, ale się rozgadałem. W zasadzie to nie tyle się rozgadałem, co rozpisałem. Sporo już wiecie o mnie i o mojej rodzinie, ale zapomniałem wspomnieć o jednym drobiazgu.

Nie mówię.

* * *

Tak, dobrze zrozumieliście. Nie mówię. Od urodzenia. Po prostu nie potrafię. Z moich ust nie padło nigdy ani jedno słowo. Pewnie trudno w to uwierzyć.

Już w chwili narodzin zapowiadało się, że coś będzie ze mną nie tak. Podobno nie powitałem świata wrzaskiem, tak jak to czyni większość noworodków. Tata opowiadał mi, że

wyglądałem wtedy jak ryba wyciągnięta z wody, która próbuje oddychać w nienaturalnym dla siebie środowisku.

Można powiedzieć (jeżeli oczywiście umie się mówić), że zacząłem swe życie niemym krzykiem. Płakałem, ale bezgłośnie, tylko łzy i wykrzywiony wyraz twarzy świadczyły, że reaguję w miarę właściwie. Wszyscy byli zaskoczeni, doświadczeni lekarze, którzy niejedno już widzieli, chyba najbardziej. Wówczas potraktowano to jako drobne odstępstwo od normy, do którego nie przywiązywano większej wagi.

Pewnie nikt nie przypuszczał, że to wydarzenie pociągnie za sobą tak poważne konsekwencje. Moi rodzice też nie. Byłem cicho, więc sprawiałem wrażenie grzecznego dziecka.

Wraz z upływem czasu zaczęli się jednak o mnie niepokoić. Nie wydawałem z siebie żadnych pomruków, o słowach typu „mama”, „tata” nawet nie wspominając. Moi rodzice nie chcieli dłużej czekać. Zaczęły się podróże po lekarzach, szpitalach, specjalistycznych poradniach, a także po rozmaitej maści uzdrowicielach, zielarzach, a najczęściej zwykłych oszustach, którzy chcieli wyciągnąć pieniądze od zmartwionej, młodej matki.

Początkowo skupiano się na nieprawidłowościach w anatomicznej budowie narządów mowy. Najprościej rzecz ujmując, sprawdzano, czy moje wargi i język są w pełni sprawne. Była to raczej droga donikąd, bo ponoć od zawsze potrafiłem wykonywać najdziwniejsze miny.

Stawiano różne diagnozy, w zasadzie każdy mówił coś innego, a medyczne określenia typu dysfrazja, dysglosja, czy anartria brzmiały bardzo poważnie, zwłaszcza w uszach moich rodziców, którzy nie posiadali medycznego wykształcenia.

Mama, w odróżnieniu od ojca, była zwolenniczką tak zwanej medycyny niekonwencjonalnej. Jak sobie pomyślę, że jacyś troglodyci odprawiali nade mną jakieś czary i odczyniali złe uroki, to słabo mi się robi. Dobrze, że byłem wtedy mały i niewiele pamiętam, chociaż wielokrotnie opowiadano mi wszystkie te historie, na podstawie których można by nakręcić całkiem niezły film, albo nawet i serial pod tytułem „Zdesperowana matka”.

Jedynym widocznym rezultatem tych wizyt było pustoszące po każdej diagnozie konto bankowe mojego ojca. To właśnie on w końcu powiedział dość. Nigdy nie miałem mu tego za złe, wręcz przeciwnie – byłem mu wdzięczny.

Jak już wcześniej wspominałem, do wszystkiego można się przyzwyczaić, do bycia niemową również. Często wyobrażałem sobie, jakby to wyglądało, gdybym potrafił mówić jak reszta otoczenia. Myślę, że miałoby to też swoje złe strony. Zawsze byłem taki jak teraz, definiował mnie właśnie brak mowy. Gdyby nie to, może byłbym kimś zupełnie innym, a nie

jestem do końca przekonany, czy bym tego chciał. Może się wydawać, że to trochę pokrętna logika, ale cóż mogę poradzić, tak po prostu jest i już.

Owszem, miałem z tego powodu mnóstwo problemów, ale przecież każdy jakies ma. Zaczęły się w domu. Naprawdę ciężko jest postawić na swoim, jeśli nie możesz się o to wyklócać. Każdy ignoruje twoje gesty lub umyślnie interpretuje je na swoją korzyść. Wkurzające, nie? Najpierw też się tylko wkurzałem, ale była to mało skuteczna metoda, więc zacząłem myśleć i działać. Nie próbowałem już przeforsować swojego zdania, po prostu robiłem to, na co miałem ochotę. Nie pytałem rodziców, czy mogę iść pograć w piłkę z kolegami, po prostu stawiałem ich przed faktem dokonanym. Nie byli tym zachwyceni, toteż dostawałem jeden szlaban za drugim, co zresztą konsekwentnie olewałem. W końcu odpuścili. I sobie, i mnie.

W szkole było jeszcze trudniej. Nie chodzi o to, że nie chciało mi się siedzieć nad książkami, nie opuszczałem zajęć, nic z tych rzeczy. Lubilem się uczyć, zresztą nadal lubię. Moi rodzice musieli rozmawiać ze wszystkimi nauczycielami i każdemu z osobna tłumaczyć, że nie mówię. W zasadzie nie powinno być to jakimś wielkim problemem. Nie mogłem odpowiadać ustnie, ale przecież wszystko można zaliczyć pisemnie, co zresztą robiłem i to z całkiem niezłym skutkiem.

Należałem do grona najpilniejszych uczniów, a mimo to mój dzienniczek pęczniał od uwag. Do najczęściej powtarzanych przez nauczycieli słów należały „arogancki” oraz „bezczelny”. Fakt, wychodziłem z klasy w trakcie lekcji. Tak, bez pytania. Gdy czułem, że muszę siku, po prostu wstawałem z krzesła i szedłem. Mogłem napisać na kartce, że idę do toalety, ale uważałem się za wolnego człowieka i nie miałem zamiaru spowiadać się obcym ludziom ze swoich fizjologicznych potrzeb. Rodzice co jakiś czas pytali, czy nie wolałbym uczyć się w domu, ale ciągnęło mnie do kolegów, z moim kumplem z ławki Wojtkiem na czele.

Byłem inny niż reszta i doskonale zdawałem sobie z tego sprawę. Jako nastolatek spędziłem mnóstwo czasu siedząc przed komputerem i czytając wszystkie artykuły dotyczące zaburzeń mowy, jakie znalazłem w internecie. Doszedłem do wniosku, że problem, z którym borykam się od urodzenia, może kryć się pod fachową nazwą – afazja. Jednak w miarę jak chłonałem tę wiedzę, zrozumiałem, że nieco się pomyliłem. Afazja jest to częściowa lub całkowita utrata mowy, ale mowy już wykształconej, czyli mnie to nie dotyczyło. Byłem zaskoczony, że istnieje aż tyle czynników, które mogą przyczynić się do utraty tej zdolności. Od razu odrzuciłem niektóre z nich, zwłaszcza te, które dotyczyły zaburzeń sfery emocjonalnej. W tej kwestii wszystko ze mną w porządku. Przynajmniej tak myślę.

Gdy któregoś dnia znowu ślęczałem przed monitorem, wreszcie trafiłem na coś odpowiadającego mojemu przypadkowi. Alalia. Pewnie nic wam to nie mówi. Jest to uszkodzenie pewnych struktur w mózgu, do którego mogło dojść w trakcie porodu. Osoby dotknięte tą przypadłością są dobrze rozwinięte pod względem umysłowym i mają w pełni ruchome narządy mowy. Dokładnie tak jak ja. Nie miałem ochoty na kolejne spacery po lekarzach, więc zachowałem to dla siebie. Z czystej ciekawości sprawdziłem jeszcze, czy istnieją jakieś sposoby leczenia, ale niczego nie udało mi się znaleźć. Trudno, lecz w zasadzie chciałem tylko wiedzieć, co mi jest, a raczej zwyczajnie nie byłem gotowy na tak diametralną zmianę. Mówiący Rafael Wells? No bez żartów. Kto by w to uwierzył? Nawet mi samemu byłoby ciężko. Nie zmienia to jednak faktu, że swego czasu poświęcałem mnóstwo godzin na dociekanie, co może być przyczyną mojej wady. Nie potrafiłem myśleć o niczym innym, stawało się to dla mnie czymś w rodzaju obsesji.

To było parę ładnych lat temu. Teraz już mi przeszło. Zupełnie. Chociaż, gdy się nad tym dokładniej zastanowić, to chyba jednak nie do końca. Po prostu ukierunkowałem swoją energię na coś innego, ciekawszego, bardziej twórczego.

* * *

Co twórczego może robić niemowa? No, na pewno nie śpiewać, wiadomo, ale jakoś nigdy mnie do tego nie ciągnęło.

Dużo piszę. Odkąd tylko pamiętam, zawsze dużo pisałem, chociaż nie miało to związku z żadną działalnością artystyczną, przynajmniej do czasu. Nie mogę mówić, ale mimo to jednak jakoś musiałem porozumiewać się z innymi. Robiłem to najczęściej przy pomocy kartki i długopisu, tak że pisanie siłą rzeczy weszło mi w nawyk. Praktycznie od dziecka nie rozstawałem się z notesem. Muszę przyznać, że ten sposób komunikowania się najbardziej mi odpowiadał. Ojciec nauczył mnie języka migowego, ale jakoś nie mogłem się do tego przekonać, wołałem pisać.

Gdy dostałem pierwszy komputer, otworzyły się przede mną nowe możliwości. Długopis, z którym kiedyś się nie rozstawałem, zastąpiłem klawiaturą. Było to korzystne nie tylko dla mnie, ale i dla pozostałych członków rodziny, którzy wreszcie mogli bezproblemowo odczytać moje zapiski. Tak, przyznaję się, mam paskudny charakter pisma, ale mimo to lubię pisać ręcznie, chociaż robię to coraz rzadziej.

Teraz posiadam własnego laptopa i telefon komórkowy, więc mogę pisać także poza domem i porozumiewać się praktycznie z każdym. Oczywiście komórka nie służy mi do

dzwonienia, tylko do pisania esemesów, wiadomo. Mam taki model z klawiaturą QWERTY, więc zarówno na komputerze, jak i na telefonie rozkład klawiszy jest dokładnie taki sam, więc tu i tu piszę równie szybko, jak to się fachowo mówi – bezwzrokowo. Skoro już posiadałem taką umiejętność to uznałem, że można ją jeszcze wykorzystać w inny sposób.

Nigdy nie miałem problemów z tworzeniem własnych tekstów, a i na brak dobrych pomysłów nie narzekam, więc jakieś dwa lata temu zacząłem pisać swoją pierwszą powieść. Tak mi się to spodobało, że właśnie w tym momencie kończę już czwartą. Będzie to thriller, póki co roboczy tytuł to „Bonus”. Nie wiem, czy te moje książki są dobre, ale po prostu lubię je pisać, tak sam dla siebie. Dobrze zrozumieliście, żadnej z nich nie wydałem, nie próbowałem wydać i nie mam zamiaru wydawać. Nikt też nie wie, że piszę, bo przecież wiadomo, że nikomu o tym nie opowiedziałem. Przecież nie mówię, no nie?